

Kathryn odstawiała kieliszek.

— Opowiedz Jamesowi o ludziach ze wzgórz — powiedziała i ziewając, weszła do środka.

Pragnąłem iść za nią do sypialni, wyluskać ją ze spódnicy z płótna żaglowego. Trzeba było zmieść tak dużo zjełczałego czasu. Jaśmin pączkujący w szklance na szczoteczki do zębów, wszystkie zmysły pędzące ku miłości. Wysuwamy obute stopy nieznacznie do przodu, muskamy się, drżąc, odczuwając siebie nawzajem z niespokojną czcią, wrażliwi na każdy niuans dotyku, opuszki palców, dryfujące ciała. Przysiad i do góry, moje ręce wokół jej pośladków, moja twarz w dolince między jej piersiami. Stękam pod brzemieniem, jej śmiech na nocnym wietrze. Parodia starożytnego porwania. Człapiąc do łóżka, myślę o tym, jak rytmiczne i poprawne jest to piękno, ta prostota złożona z półluków, ludzkich powierzchni, kształtów, które te greckie wyspy odnajdowały w pariańskim marmurze. Szlachetna myśl. Łóżko jest małe i nisko osadzone, zapadnięty materac o twardych brzegach. Z chwili na chwilę nasze oddechy popadają w to samo zawahanie, małą kadencję, którą wspólnym wysiłkiem zniszczymy. Ubranie zsuwa się z krzesła, dzwoni klamra od paska. To jej spojrzenie. Pytanie, kim jestem i czego chcę. Ten wzrok w ciemności, któremu nigdy nie potrafiłem odpowiedzieć. Wygląd tej dziewczyny w rodzinnym albumie, roszczącej sobie prawo do precyzyjnego obliczenia wartości tego, co jest w świecie. Uważamy, żeby nie robić hałasu. Chłopiec leży w swoim łóżku za ścianą. To utrudnienie jest tak finezyjnie wsztukowane w nasze noce, że uwierzyliśmy, iż bez niego przyjemność byłaby mniejsza. Od samego początku, gdy chłopiec się w niej załagał, próbowaliśmy oddalić się od silnych emocji. Wydawało się to powinnością i przygotowaniem. Stwórzmy mu powściągliwy świat, szemrzący, namalowany łagodnymi pastelami. Szlachetna myśl numer dwa. Moje usta na krawędzi jej ucha, słowa miłości niewypowiedziane. Ta cisza jest świadkiem głębszej lojalności.

— Zaczęło się zwyczajnie — powiedział Owen. — Chciałem zobaczyć monaster. Jest tam szlak, który wije się w jego stronę, szeroki tylko na tyle, że ledwo mieści się skuter. Przecina winnicę, a potem pnie się w pyle między wzgórz. Gdy teren tak się wznosi i opada, raz po raz widać w odsłonach masy skalne w głębi wyspy. Z tego, co mówią miejscowi, monaster jest zamieszany, działa do dziś, a goście są mile widziani. Sęk w tym, że ścieżka kończy się w gęstych zaroślach na skalnym rumowisku ze dwie mile od celu. Nie ma wyjścia, trzeba iść na piechotę. Zastawiłem skuter i ruszyłem dalej. Z końca ścieżki nie widać monastynu ani nawet urwiska skalnego, do którego jest przytulony, próbowałem więc odtworzyć układ terenu z tego, co zobaczyłem w przelocie kwadrans wcześniej, jadąc na skuterze.

Dostrzegłem ją w mroku, przesuwała się wzdłuż ściany sypialni, zdejmując w ruchu bluzkę. Okno było małe, więc zaraz zniknęła mi z oczu. Nikły błysk, światło w łazience. Zamknęła drzwi. Z przeciwległej części domu dobiegł szum płynącej wody, tam gdzie było okienko od toalety, jak skwierczenie na patelni. Znowu ciemno. Owen oparł się na krzesło o ścianę.

— Po drodze są groty skalne. Niektóre przypominały mi grobowce, podobne do tych w Matali nad Morzem Libijskim. Oczywiście wszędzie w Grecji są jaskinie. Historia zamieszkiwania jaskiń w tej części świata ciągle czeka na gruntowe opracowanie historyczne. W moim przekonaniu to kultura równoległe rozwinięta, aż do nudystów i hipisów na Krecie w ostatnich latach. Nie zdziwiłem się więc, gdy zobaczyłem dwie postacie, mężczyzn stojących u wejścia do jednej groty, mniej więcej piętnaście metrów nade mną. Tamtejsze wzgórz pokrywa zielonkawy nalot, większość jest zaokrąglona u góry. Nie dotarłem jeszcze do strzelistych skał, przy których był monaster. Wskazałem przed siebie i spytałem tych mężczyzn po grecku, czy to dobra droga. Osobliwe, że zdawałem sobie sprawę, że to nie są Grecy. Intuicyjnie jednak wyczułem, że zyskam przewagę, jeżeli będę udawał niezorientowanego. Dziwne, jak umysł dokonuje takich kalkulacji. W tych mężczyznach było

coś zastanawiającego. Wymizerowany wygląd, napięcie jak u uciekinierów. Niby nie czułem, że grozi mi niebezpieczeństwo, ale uznałem, że muszę zastosować jakąś taktykę. „Jestem nieszkodliwy, ot, zagubiony wędrowiec”. Bo nim przecież byłem, szedłem w butach turystycznych i kapeluszu, na plecach mała torba z płótna. Termos, kanapki, czekolada. W skale wykuto toporne schodki. Dawno temu. Mężczyźni mieli na sobie zlachmanione luźne ubrania, wyblakłe, portki w stylu tureckim albo indyjskim, takie jakie czasem noszą młodszy turyści. Widuje się je w Atenach dokoła tanich hoteli na Placu i w miejscach takich jak ten zadaszony rynek w Stambule, no i wszędzie na szlaku lądowym do Indii, ludzie we wdziankach z aśramu, w ubraniach z troczkami. Jeden z mężczyzn miał skąpą brodę, i to właśnie on zawołał do mnie, jeszcze bardziej nieskładną greką niż moja: „W ilu językach mówisz?”. Co za cholernie dziwne pytanie. Bardzo oficjalne. Jak ze średniowiecznej opowieści. Zadawane wędrowcom u bram miasta. Czy moje wejście zależało od odpowiedzi? To, że obaj mówiliśmy w obcym nam języku, pogłębiło poczucie oficjalnej procedury, protokołu, ceremoniału. „W pięciu!” — odrzyknąłem, znowu po grecku. Był zaintrygowany, ale nadal czujny, a kiedy przywołał mnie skinieniem ręki, wszedłem powoli po schodkach, zastanawiając się, jacy ludzie i od ilu wieków mieszkają w tym miejscu.

Teraz musiałem się skupić, żeby ją dostrzec. W głębi sypialni, przy ścianie, w ciemności. Siłą woli próbowałem ją skłonić, by spojrzała w moją stronę. Włożyła moją koszulę z gieny, jedną z tych, które wyrzuciłem, bo jest dobra do spania w samotności, powiedziała mi z uśmiechem. Przydługa, o staromodnym kroju, sięgała jej prawie do kolan. Czekałem, by zobaczyła, że na nią patrzę. Wiedziałem, że spojrzy. Ta wiedza zawierała się w strukturze mojego patrzenia. Oboje wiedzieliśmy. To było łączące nas porozumienie, które wymijało rutynowe wiry. Mogłem nawet przewidzieć w ułamku sekundy, w którą stronę za chwilę odwróci głowę. No i spojrzała, na moment, jedno kolano osunięte już na krawędź łóżka, zobaczyła łokieć Owena sterczący przy ramie okiennej od strony przechylonego krzesła, zobaczyła mówiącego Owena, a dalej szczupłą, spokojną, inteligentną twarz swojego męża, ruchliwą w blasku świecy. Wypatrywałem znaku, czegoś, co mógłbym zinterpretować jako przychylność. Ale co mogła mi dać w zatłoczonej chwili w ciemności, nawet jeśli znała mój umysł i chciała mu przynieść wytchnienie? Tę koszulę miała na sobie, kiedy zamachnęła się na mnie obieraczką do ziemniaków podczas naszych pierwszych mrocznych dni, poidelko dla ptaków okryte śniegiem.

„Niechętnie cudzołożysz”.

— W wejściu do grotty było jeszcze dwoje innych. Kobieta o wyrazistych rysach, ociężała, z krótko obciętych włosami. Mężczyzna siedział w progu, pisał w notatniku. Obok było kamienne palenisko. W grocie zobaczyłem śpiwory, plecaki, słomiane maty, inne rzeczy, których nie mogłem wyraźnie dostrzec. Ci ludzie oczywiście wyglądali niechlujnie. Włosy matowe od brudu. Wiesz, to ten szczególnie lepki brud ludzi, którym już nie zależy. Brud był teraz ich środkiem wyrazu. Był ich powietrzem, ciepłem w nocy. Usiedliśmy przed grotą, na występach skalnych i wykutych schodkach, podkładając sobie zwinięte śpiwory. Jeden z mężczyzn wskazał monastyr, który było dobrze widać z tego miejsca. Uznałem to za życzliwy, uspokajający gest i próbowałem nie zauważyć, że mi się przyglądają, że sprawdzają mnie dokładnie. Przez cały czas mówiliśmy po grecku, ich wersja była mieszkanką starych form i *demotiki*, czyli języka potocznego.

Powiedział im, że zajmuje się epigrafia — jego pierwsza i obecna miłość — że bada napisy. Wyruszał na prywatne wyprawy, zostawiając minojskie wykopalisko pod pieczęą swojej asystentki. Ostatnio wrócił z Qasr al Hallabat, ruin zamku na pustyni w Jordanii, gdzie widział fragmenty greckich inskrypcji zwanych Edyktem Anastazjusza. Przedtem był w Tell Mardikh, żeby zbadać tabliczki z Ebly; na górze Nebo, żeby zobaczyć mozaiki; w Dżarasz, Palmyrze, Efezie. Powiedział im, że pojechał do Ras Szamra w Syrii, żeby zbadać jedną

glinianą tabliczkę wielkości męskiego palca, zawierającą cały złożony z trzydziestu trzech liter alfabet Kananejczyków, ludu, który żył tam grubo ponad trzy tysiące lat temu.

Wydawali się zainteresowani, choć żaden się nie odezwał, póki Owen nie zaczął zbierać się do odejścia. Wydawało mu się, że próbują ukryć podekscytowanie. Kiedy mówił dalej o Ras Szamra, słuchali, uważając, by nie patrzeć na siebie. Ale wyczuł interakcję, w powietrzu wyczuł iskrę zaintrygowania, jakby każdy z nich siedział w osobnym naelektryzowanym polu, a pola te się nakładały. W końcu się okazało, że interesuje ich alfabet. Wyjaśnili mu to trochę nieśmiało tą swoją nieskładną greką.

Nie Ras Szamra. Nie historia, bogowie, obalone mury, wagi ani pompki archeologów. Tylko alfabet. Interesowały ich litery, symbole pisane, w ustalonej kolejności.